

„Gazeta”, Toronto, Boże Narodzenie, 2001

Joanna Sokolowska-Gwizdka

ZNAJA MNIE TU JAK ZŁY SZELAG,

ALE JAKOŚ TOLERUJA

Patrzę tylko przed siebie

Z Ireną Kwiatkowska rozmawia - Joanna Sokolowska-Gwizdka

- Przyjechała pani do Kanady tylko na tydzień. Podczas występu zgromadziła pani tłumy wielbicieli. Jak pani się tu czuje?

Irena Kwiatkowska

- Jak u siebie. Byłam tu dwa lata temu. Jak teraz przyjechałam od razu zagonili mnie do roboty, do grania, do próby z pianistą, żeby przygotować „Sierotkę” Gałczyńskiego.

J.G. - Przyjechała pani z promocją płyty wydanej w serii „Portrety muzyczne”. To wyraźne przeoczenie, że ukazała się dopiero pierwsza pani płyta, przy tak dużym dorobku. Dokonanie wyboru spośród wykonywanych przez panią literackich tekstów było na pewno dużą trudnością. Jakie piosenki znalazły się na tej płycie?

I.K. i Rafał Tuchanowski (menadżer) - Wpadliśmy na pomysł, aby wydać tę płytę razem z Polskim Radiem. Wyboru dokonała Gina Komasa z Polskiego Radia. Na płycie znalazły się zarówno znane piosenki z kabaretów, jak i artystyczne teksty literackie. W dużej części są tu piosenki z Kabaretu „Starszych Panów” pochodzące z Archiwum Polskiego Radia. Niektóre świetne teksty nie znalazły się na tej płycie, gdyż są w prywatnym posiadaniu. Dotyczy to np. piosenki „Nogi roztańczone”, której właścicielem jest kolega aktor, Romek Dziewoński. Mamy nadzieję, że znajdzie się ona na następnej płycie, pod takim właśnie tytułem.

J.G. – W Polskim Radio czytała pani dużo tekstów dla dzieci, „Kubusia Puchatka”, „Plastusiowy Pamiętnik” i różne inne bajki. Czy ten repertuar też się znajdzie na kolejnej płycie?

I.K. i R.T. - Tak, zamierzamy wydać płytę skierowaną tylko do dzieci, na której byłyby zarówno piosenki, jak i bajki. Ale jak się to potoczy, zobaczymy.

J.G. – Wkładała pani dużo pracy w wykonanie dziecięcego repertuaru. Te bajki są świetnie aktorsko opracowane, z dużą dbałością o szczegóły. Czy mały odbiorca, to wdzięczny słuchacz?

I.K. – O tak. Ja bardzo lubię grać dla dzieci. Są szalenie sugestywne. Jeśli na przykład w którymś momencie gdzieś spojrzałam, to momentalnie wszystkie główki miałam profilowo, takie były ciekawe, co ja tam zobaczyłam. Dzieci są rozkoszne. Czytałam też dla dzieci ociemniałych, w Laskach pod Warszawą. Starłam się tekst poprawić, bo miałam na uwadze to, że słucha mnie dziecko niewidome. I dlatego nie unikałam określenia - zobacz. Dziecko niewidome patrzy poprzez dotyk, jego wyobraźnia pracuje. Mówiłam więc, zobacz jaki to jest ładny materiał. Dziecko podchodziło, patrzyło. Piękne są spotkania z takimi dziećmi.

J.G. - Usłyszeliśmy wczoraj, że pani już jako dziecko zetknęła się ze sceną.

I.K. - Tak. Gdy byłam dzieckiem ochronki należały do takich miejsc, gdzie opiekowano się dziećmi niezamożnych rodziców. Ja chodziłam do szkoły do ochronki w Warszawie. W okresie Świąt Bożego Narodzenia wystawiane były Jasełka. Mnie obsadzili w roli diabełka. Bardzo to przeżywałam. Pomyślałam sobie, że dziewczynka, która gra aniołka jest blondynką, kręcą jej się loczki, a mnie nie, więc dlatego w przedstawieniu jestem diabełkiem, a nie aniołkiem. Teraz tym się nie martwię, Teraz to by się nazywało - rola charakterystyczna.

J.G. – I od tamtej pory drzemie w pani taki „diabełek” . Czy na studiach w Szkole Teatralnej zetknęła się pani z literaturą dla dzieci?

I.K. – Tak. Gdy byłam na studiach, dyrektorem Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej był Aleksander Zelwerowicz, co roku organizował konkurs aktorski. Na pierwszym roku hasłem konkursowym była bajka dla dzieci. Wybrałam sobie wtedy ludową bajeczkę o koguciku i kurce. Na pozór wydawało by się, że to prosty tekst. Ja lubię wykonywać takie pozornie łatwe utwory. A więc bajeczka zaczynała się tak. Był sobie raz kogucik i kurka, poszli razem na spacer, ale kogucikowi bardzo zachciało się pić. Wyciągnął nóżki i zemdlał. Kurka bardzo się zafrasowała, poleciała do morza po wodę. I powiada - morze, morze daj wody, - komu wody, - kogucikowi wody, bo kogucik leży koło drogi i schnie.- A nie dam Ci, aż pójdziesz do lipy po łyko. - Lipa, lipa daj łyko...itd. . I ta historia się ciągnęła i ciągnęła, aż na końcu tekst mówiło się na jednym oddechu. Ta bajka była technicznie trudna, dlatego nie znalazła naśladowców. W konkursie zdobyłam pierwszą nagrodę i pamiętam do dziś, dostałam 20 zł. Przyniosłam te pieniądze do domu, a że dom nie był zamożny, to mama powiedziała do mnie - postaraj się, żebyś w przyszłym roku też przyniosła 20 zł.

I.G.- Debiutowała pani na scenie w 1936 roku. Czy zetknęła się pani z Hemarem, Słonimskim, Lechoniem, Tuwimem?

I.K. – Oczywiście, znałam ich wszystkich, ale jako wielkości. Natomiast nie miałam z nimi kontaktu, przecież byłam wtedy zupełnie nieznana. Na popularność trzeba sobie zarobić. Ja sobie zarobiłam dopiero po wojnie w Kabarecie „Siedem Kotów” w Krakowie. Tam sięgnęłam po teksty Gałczyńskiego, które mi się bardzo podobały. Kiedyś przypadkiem Gałczyński będąc w Wilnie usłyszał przez radio, jak recytowałam „Inge Barcz”. I z Wilna przysłał kartkę, w której napisał - dziękuje pani za świetną interpretację mojej „Inge Barcz”. Jaki skromny, o sobie nie wspomniał, tylko napisał o mojej interpretacji.

J.G. – Gałczyński odtąd pisał teksty specjalnie dla pani.

I.K. – Napisał dla mnie Hermenegildę Kociubińską z Kabaretu „Zielona Gęś”. To był trudny tekst, rewolucyjny w formie. Ale miał dużo takiego humoru, który mi odpowiadał. Agatha Christie mówiła, że każdy człowiek jest trochę zwariowany, ale dopóki nie mówi, że jest jajkiem na twardo, może chodzić na wolności. Gałczyński napisał też dla mnie „Sierotkę”. Był to zgrabny wierszyk, no, ale ja akurat do takich wierszy się nie nadawałam, nie odpowiadał mi ten tekst. Powiedziałam więc Gałczyńskiemu w ten sposób (pamiętam, ta rozmowa była na Nowym Świecie). – Wie pan, mnie uczyli w szkole teatralnej, że utwór sceniczny musi się składać z introdukcji, z akcji, konfliktu i puenty. Wtedy ja taki utwór mogę grać. Ale wierszyka nie umiem mówić. I on genialnie się do tego zastosował. Włożył w ten tekst całą intrygę, rozbudował go.

J.G. – Powiedziała pani kiedyś, że do śpiewania piosenek na scenie ośmielili panią „Starsi Panowie”. Jak pani wspomina ten kabaret?

I.K. - Na początku audycje z Kabaretu „Starszych Panów” nie trafiały do widza, były zbyt trudne i za bardzo nowatorskie. Np. jak się na scenie mówiło, że ktoś otwiera drzwi, to publiczność, się dziwiła. - Jakie drzwi, nie ma tam przecież żadnych drzwi. Później się nauczono, że to taki troszkę zwichrowany dowcip. Zespół aktorski, był zespołem stałym, Kraftówna, Michnikowski, Gołas, Kwiatkowska, Jędrusik. Przybora pisał znakomicie, ale myśmy stworzyli pewien klimat tej audycji. On sam natomiast nie doceniał jakości swojego tekstu. My za to szanowaliśmy tekst Przybory i stosowaliśmy się do jego interpunkcji. Dlatego może teksty razem z wykonaniem podbiły publiczność. Natomiast Kabaret „Dudek” mimo, że występował w nim prawie ten sam zespół, to już była zupełnie inna forma i edycja.

J.G. - Czy była jakaś szczególna sytuacja w pracy scenicznej, która wspomina pani do dziś?

I.K. - Adolf Dymśa był znakomitym aktorem. Ja miałam grać z nim w duecie. Mieliliśmy być parą w noc poślubną, Żydóweczka i Żyd. Ona bardzo skromna, panienka.

Dymsza był znany z tego, że lubił robić kawały na scenie. Wiedząc o tym powiedziałam mu - ja na scenie nie mam poczucia humoru, nie ma dla mnie miejsca na jakieś takie wtręty komiczne, prywatne, także bardzo pana proszę o zachowanie takiej formy, jak należy. I on się zastosował. Zrozumiał mnie, że ja się mogę bawić, żartować za kulisami, ale na scenie ja się ściśle trzymam tekstu. Dlaczego tak się obawiałam. No bo w tej scenie byłyby dla niego przeróżne możliwości. Jako młody żonkoś z młodą żoną, dziewczyną. Ale on zagrał ją pięknie, tak jak pan młody, który wie, że ma do czynienia z niewinną panienką. Ja jego genialności nie potrafię przekazać. Więc byłam mu za to bardzo wdzięczna. A tu koledzy już stali za kulisami w oczekiwaniu, że teraz będą te draki, skoro jest noc poślubna.

J.G. - Zasłynęła pani rolą kobiety pracującej w „Czterdziestolatku”. Jest to wielka sztuka stworzyć z roli epizodycznej, rolę charakterystyczną, taką, którą się pamięta.

I.K. - Kobieta pracująca, to hasło, które bardzo się przyjęło. Do tekstu też się dużo przyczyniałam, bo dobre teksty m.in. Przybory pisane były bardziej literacko. Więc ja ten język trochę poprawiałam. Na szczęście nie mieli o to pretensji, bo dobrze na tym wychodzili.

J.G. – A jak pani wspomina tę rolę?

I.K. – Ja nie oglądałam tego w ogóle. Ja nie patrzę do tyłu. Zna pani takie powiedzenie, rolnik musi patrzeć przed siebie, a nie za siebie. Ja zawsze stosuję tę zasadę i to dlatego, że taką mam naturę. Jak coś jest zrobione, to już poszło. A co jest złe, to trzeba naprawić, jak będzie okazja. Tak więc nie oglądałam „Czterdziestolatka”. Po nagraniu sceny widzę ją na wizji, skrzywię się i idę do domu. I dziwię się, że się ludziom to podoba. Ale przyzwyczaili się do mnie jakoś. Ulica mnie wita, uśmiecha się. Ludzie poznają mnie.

J.G. - Podobno lubi pani, żeby przedmioty, którymi się pani otacza miały swoje przeznaczenie i były wykorzystywane, żeby żyły razem z panią. Oddała pani do fundacji stare pianino, bo na nim nikt nie grał.

I.K. - Tak, oddałam pianino Seilera. Gdy zmarł mój mąż, ono do niczego nie służyło. Więc przekazałam je w takie miejsce, gdzie nie było instrumentu, mimo, że było dla mnie drogą pamiątką. Pianista, który na nim gra powiedział kiedyś, że to pianino ma duszę.

J.G. – Czy ma pani jakąś receptę na tak wspaniałą kondycję życiową, taką ilość planów, chęci do życia i działania. Urodziła się pani w 1912 roku, więc mało kto w pani wieku ma tyle w sobie energii, radości i optymizmu.

I.K. Ja z natury jestem optymistką. We wszystkim widzę dobre strony. Pada deszcz. wilgoć, no przeszkadza, ale wilgoć dobra jest na cerę, wilgoć dobra jest na serce i już

jest dobrze. Przyroda jest taka wspaniała. Czasami się zastanawiam, czy to wiatr porusza liśćmi, czy to liście tworzą wiatr. Jest tak, czy tak.

Poza tym mądrzy w piśmie mówią, że jestem biologicznie młodsza jak na swój wiek. Może to też daje energię i optymizm. Dużo radości daje mi praca zawodowa. To jest charyzma, dar boży. Pani tego nie wypracuje, pani musi pracować razem z tą charyzmą.

J.G. –Czy wykonywane przez panią teksty mają zawsze ukrytą, głęboką mądrość?

I.K. – Tak, choć ludzie czekają na wesołe rzeczy, to ja czasami lubię i głębokie. Staram się nie podlegać presji widowni, tylko ją kształcić. I myślę, że taka jest moja rola, dać coś do myślenia. Nie interesuje mnie humor sytuacyjny, potknąć się, przewrócić i wywołać śmiech.

J.G. – Jakie są pani plany na przyszłość, gdzie pani będzie występować?

I.K. - Przygotowywane są występy w Chicago, we Francji, w Londynie, w Niemczech i Australii.

I.G. – Powiedziała pani w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” przed przyjazdem do Kanady, że „znają panią tutaj, jak zły szeląg, ale jakoś tolerują”. Czy mogłaby pani wyjaśnić, co miała pani na myśli?

I.K. - Bardzo lubię występować dla polonii, to dobra publiczność, życzliwa, tolerancyjna. Myślę sobie, że już się pewnie przyzwyczaili do moich ułomności. Jestem akceptowana i to mi daje wewnętrzny spokój. Dostałam od Boga dar i jak umiem najlepiej dzielić się nim z innymi.

I.G. Bardzo pani dziękuję za udzielenie tak długiego wywiadu, życzę pani zdrowych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia oraz dalszej, tak wspaniałej energii twórczej, radości i optymizmu w Nowym Roku.

rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka